

Weź tę lodówkę! [FELIETON]

Nie ma wątpliwości, że zarówno obecna pandemia, jak niechybne następne, są skutkami m.in. zmian ekologicznych i deforestacji, które sprzyjają mutacjom i ułatwiają wirusom przeskakiwanie ze zwierząt do człowieka. Z czego wynika, że – owszem, należy dbać o planetę – pisze Agnieszka Kołakowska w kolejnym felietonie z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”.

A może by tak, nieśmiało zasugerował mój mąż między filmami, o czymś innym?

Wyjaśniam, że opery zostały ostatnio zastąpione filmami. Nie tymi na Netflix, które rzecz jasna co wieczór wraz z resztą świata oglądamy (polecam francuski serial pt. „Gdzie jest mój agent?”), lecz domowymi, kręconymi w ogrodzie za pomocą kamery nocnej, czujnej na ruch. Który, jak się okazuje, jest tam jak na Marszałkowskiej. Wśród stałych bywalców są lisica i jeź, wiewiórka i sroka. Wszyscy grają znakomicie; zwłaszcza jeź zasługuje na Oscara.

Rzeczywiście pora na coś innego. Gdy zastanawiałam się, z poczuciem beznadziei, na czym to coś innego miałoby polegać, mój mąż wyciągnął rękę i rozkazał tonem niecierpiącym zwłoki: „Weź ten zegarek!”.

Spojrzałam: podawał mi telefon. (Tu muszę doprecyzować – dla tych, którzy posługują się tylko komórkami, gdzie mają wyświetloną godzinę – że chodzi o ten przedpotopowy przedmiot, telefon stacjonarny). Równie dobrze mógłby być powiedzieć „lodówkę”, lub cokolwiek innego z tą samą liczbą sylab. Samolotu, pistoletu ani helikoptera nie mamy, ale mnie też zdarzało się ostatnimi czasy mylić zegarek z ręcznikiem albo lodówkę z patelnią. Podejrzewam, że nie jesteśmy w tym odosobnieni, nawet wśród tych, którzy, jak my, uniknęli (jak dotąd) Covida.

W Anglii narzekają, że w epoce Covidu szpitale lekceważą normalnych pacjentów. Jedna dziennikarka opisuje, jak poszła z egzemą na dłoniach na ostry dyżur, gdzie zamiast do dermatologa skierowali ją – tłumacząc, że wszyscy inni specjaliści są zajęci – na wydział psychiatrii. Moim zdaniem jak najśluszniej. Należy też zaznaczyć, że szpital wykazał tę właśnie troskę, na której brak narzekała, bo przecież mogli po prostu ją przepędzić i skierować do apteki, tak jak czynią z ludźmi, którzy przychodzą na ostry dyżur z katarem. A nie zrobili tego: zajęli się nią w jak najlepszy sposób. Nie będę już narzekać na angielską służbę zdrowia.

Podczas Świąt – wielkanocnych czy pesachowych – wszyscy w Anglii, nie tylko umyślowo chorzy, zmagali się z zadaniami matematyki świątecznej, związanej z ograniczeniem spotkań do sześciu osób. Na przykład: do rodziców trzeba iść z ciocią, ale jej kuzyn musi iść do swojej mamy, a ciocia bez niego nie może. Siostra musi iść z teściową, ale teściowa bez brata ani rusz. Itd., itp. Przypomina to problem przewiezienia przez rzekę lisa, kury i kapusty, przepływając łódką tylko dwukrotnie. Albo te potworne szkolne zadania, gdzie A, B i C kopią dół

*Jedna dziennikarka opisuje,
jak poszła z egzemą na
dłoniach na ostry dyżur, gdzie
zamiast do dermatologa
skierowali ją na wydział
psychiatrii. Moim zdaniem jak
najśluszniej*

(nigdy nie jest
wyjaśnione w jakim
celu) i trzeba
obliczyć, ile wykopie
A zanim B i C
zatłuką go łopata.
(Zawsze myślałam,
że kopią grób,
prawdopodobnie
przeznaczony dla C,
który zawsze kopie
najwolniej). Tylko

małe dziecko, świeżo po lekcjach matematyki, mogło by się z tym uporać.

Nie ma wątpliwości, że zarówno obecna pandemia, jak niechybne następne, są skutkami m.in. zmian ekologicznych i deforestacji, które sprzyjają mutacjom i ułatwiają wirusom przeskakiwanie ze zwierząt do człowieka. Z czego wynika, że – owszem, należy dbać o planetę. Ale nie ma to nic wspólnego z totalitarnymi i niszczycielskimi marzeniami ociepleniowców. Przeciwnie: im więcej dwutlenku węgla, tym zieleniej, tym więcej lasów i roślin. Dziś mamy globalnie około 45% więcej zieleni. Niż kiedy? zapytał mój mąż kąśliwie. Odpowiadam: niż ćwierć wieku temu. Mniej więcej. Sprawdziłam. W kilku miejscach. NASA się zgadza. W porządku?

Nie jest to bez związku z artykułem w angielskiej gazecie, twierdzącym, że „jeden plasterk boczku dziennie może zwiększyć ryzyko demencji o 44%”. Co to znaczy? Nie znaczy to absolutnie nic, i to z kilku powodów. Po pierwsze, ukazała się na ten temat tylko jedna praca, i to mało

solidna. Po wtóre, dziennikarz najwyraźniej nie zadał sobie trudu jej przeczytania. Po trzecie, podawanie liczb względnych zamiast absolutnych zawsze prowadzi do nieuzasadnionej paniki, bo nikt ich nie rozumie. Nic dziwnego, że – i tu związek – maleje wiara w tzw. „ekspertów”.

*Jeśli zewsząd ludzie słyszą
tylko brednie, głoszone jako
„nauka”, nic dziwnego, że
lekceważą naukę*

Ale są też inne powody, poza nonsensownymi twierdzeniami w gazetach. Czy winę ponoszą po części naukowcy, którzy dla

kariery muszą publikować jak najwięcej prac naukowych i ogłaszają wyniki w gazetach przed publikacją w naukowych pismach? Czy ponoszą ją dziennikarze, którzy tych prac nie rozumieją albo w ogóle nie czytają i czerpią informację z drugiej ręki lub z działów PR rozmaitych firm? W przypadku Covidu nie pomogły chaotyczne i sprzeczne informacje i polecenia rządowych „ekspertów”.

Ociepleniowcy, cynicznie manipulujący dane, wymyślający nieistniejące fakty i zastraszający ludzi rychłą globalną katastrofą, też osłabili zaufanie do nauki i naukowców. W Anglii (gdzie kilka dni temu padał śnieg i grad) jacyś „eksperci” chcą przekonać ludzi, że powinni jak najmniej wychodzić z domu, by zwalczać – nie, nie Covid, lecz... globalne ocieplenie.

Co z kolei nie jest bez związku z tym, o czym miałam nie pisać. Bo dlaczego ludzie mieliby wierzyć w naukę, jeśli im się wmawia, że „nauka” nie uznaje żadnej biologicznej różnicy między kobietą a mężczyzną? Albo – z drugiej strony – jeśli Kościół im wmawia, że

zapłodnienie in vitro powoduje wady genetyczne? Jeśli zewsząd ludzie słyszą tylko brednie, głoszone jako „nauka”, nic dziwnego, że lekceważą naukę.

Na koniec (skoro już wspomniałam o rzeczach, o których miałam nie pisać) chcę donieść, że na angielskich uniwersytetach nie trzeba już, ani w humanistyce, ani na wydziałach nauk ścisłych, wykazać się żadną wiedzą, by zdać egzamin. W Oxfordzie, na przykład, już kilka lat temu wydział fizyki ogłosił, że obniży poziom, by móc przyjąć więcej kobiet, czarnych, umysłowo chorych itp. Obecnie w obniżaniu standardów przoduje uniwersytet w mieście Hull, gdzie studenci nie muszą już znać gramatyki, ortografii ani poprawnej interpunkcji, bo są to białe, europejskie, męskie i elitarne formy opresji. Zamiast tego zachęca się ich do „odkrycia własnego, autentycznego głosu”.

Agnieszka Kołakowska

Przeczytaj inne felietony Agnieszki Kołakowskiej z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

